

Mój 17 listopada i kilka innych spostrzeżeń

Ol'ga Gyárfášová

Ostatnie dni przed 17 listopada 1989 roku pamiętam jako okres szczególnie uciążliwego bezruchu, oczekiwania. Po upadku muru berlińskiego zmiany były już tylko kwestią czasu, było wiadomo, że coś się musi wreszcie zmienić także w Czechosłowacji Husáka. Jednakże nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, ani przewidzieć, co miałyby ów mechanizm zmian uruchomić. Panujący w naszym kraju reżim polityczny wnosił elementy „stabilizacji”. Proszę nie mylić ze stabilizacją, jak to niegdyś mylnie poprawiono w ankiecie gazety „SME”. Określenie „stabilizacja” zaproponował jeszcze latem 1989 roku mój mąż Fero Gyárfáš w publikacji *Rozprawa o stabilizacji*, w której opisał szczególny stan systemów społecznych, wyzbytych już chęci zmian, lecz całą energię koncentrujących na działaniach zachowawczych.

Następne doświadczenie rozbijania skorupy zniewolenia było bardzo porywające, radosne, czyste, historyczne. To wielkie szczęście, że byłam przy tym wszystkim obecna, przynajmniej jako „świadek”. Biorąc udział w wiecach pod gołym niebem, nie myśleliśmy o tym, co po świątecznym nastroju nastąpi, nie potrafiliśmy sobie tego nawet wyobrazić. Pracowałam wtedy już krótko w Instytucie Socjologii Słowackiej Akademii Nauk. Wraz z kolegami prawie natychmiast przeprowadziłam pierwsze, autentyczne i niezależne badania opinii społecznej. Był to okres przynajmniej podwójnego odczarowania – społecznego i zawodowego.

Byłam wtedy po trzydziestce, po dość długim urlopie macierzyńskim, a więc kiedy wychodziliśmy na wiece, musieliśmy prosić o pomoc przy dzieciach. Należeliśmy do tego bardziej szczęśliwego pokolenia. I chociaż aż do tamtej pory wydawało mi się, że należymy raczej do pokolenia straceńców, bowiem euforia lat sześćdziesiątych nas ominęła, dojrzewaliśmy w czasach normalizacji, a w okresie, kiedy powinniśmy byli zdobywać dobre wykształcenie, podróżować i poszukiwać swojej tożsamości gdzieś między Nepalem, Paryżem i Oksfordem, pobieraliśmy nauki na zideologizowanych uniwersytetach i „poszukiwaliśmy” swojej „tożsamości” pomiędzy studenckim Klubem Filmowym i kinem „Młodość”, albo w winiarniach na Wysokiej i u Franciszkanów. Na szczęście zmiana przyszła dla nas na tyle wcześnie, że dzięki rozpierającej nas jeszcze energii zdążyliśmy dogonić stracony czas.

W tym miejscu chciałam przywołać dwa osobiste wspomnienia. Dzisiaj, kiedy działalność w podziemiu bardzo staniała, a w Słowacji żyją prawie wyłącznie dawni uczestnicy walki z totalitaryzmem lub przynajmniej ludzie z tzw. szarej strefy (jak eufemistycznie niektórzy mówią o sobie), pragnę wspomnieć o dwóch naszych rówieśnikach, którzy kochali wolność nade wszystko, wiele jej poświęcili, a kiedy wreszcie przyszła, ich już nie było na świecie.

Igor Kalný (1957–1987) i Tomáš Petřivý (1955–1986). Pierwszy był niezwykle utalentowanym plastykiem, który nie był wystarczająco lojalnym wobec państwa, aby mógł podjąć studia wyższe, natomiast drugiego po podpisaniu Karty 77 zmuszono do opuszczenia Szkoły Filmowej (FAMU). To tylko dwa spośród wielu ludzkich losów, które zniszczył reżim. Już nie tak brutalnie, jak się to odbywało w latach pięćdziesiątych XX wieku, ale i tak jeszcze w latach osiemdziesiątych potrafił pokieraszować ludzkie życie. Rozkręcił bolero, które obezwładniało, i sił nam nie starczało, by w nim trwać, albo je przerwać, tempo szaleńczo narastało jak w *Krzyku Muncha*.

Drugie wspomnienie wiąże się z 19 listopada 1989 roku – spacerowałyśmy z koleżanką i dziećmi po Sandbergu, skrawku wapiennego wzgórza na słowacko-austriackiej granicy, naszpikowanego w owym czasie drutami kolczastymi i strzeżonego bacznie przez straż graniczną. Było to ulubione miejsce naszych spotkań, dzieci zbierały skamieniałe muszle, wymyślały różne zabawy... w to niedzielne popołudnie już wiedziałyśmy, co się dzieje. Stojąc nad pokrytą kolcami granicą, spoglądałyśmy poprzez listopadową mgłę w kierunku Austrii. Widoczność była marna, nie było widać ani kolczastych drutów, ani granicy – i ten biały, czysty ekran stał się tłem dla naszych przeczuć co do nadchodzącej przyszłości... Następnego dnia już wrzało. Ewa, której kilkakrotnie odmówiono zezwolenia na wyjazd za granicę, po kilku tygodniach spakowała kilka walizek i z małym synkiem w rumuńskim Olticie wyruszyła w mgłę. Zatrzymała się dopiero w Paryżu, mieście swoich snów.

Wnikliwie zastanawiałam się nad różnymi poglądami, jakie można było w dniach 20. rocznicy rewolucji tu i ówdzie usłyszeć. Padło wiele pustych słów. Ktoś by powiedział: że to tak, jak podczas rodzinnej uroczystości, kiedy na jaw wychodzą różne ukryte sprawy, które codzienna rutyna rodzinnego współżycia szczelnie przykrywa. Teraz wypłynęło na powierzchnię trochę prawdy o nas, o naszym społeczeństwie. Szczególnie interesujące było spostrzeżenie Šimečki o samopoznaniu: „poznawać siebie możemy tylko w stanie wolności”. Dotyczy to tak jednostki, jak i społeczeństwa. Brak wolności bywał doskonałą wymówką, niewola bowiem nie nadstawiała lustra, w którym się można było przejrzeć. To, czego dowiedzieliśmy się o Słowacji, być może nie napawa nas zachwytem, zdecydowanie nie chcemy tego popierać, więc „możemy” przypiąć sobie (który to już raz!) plaketkę z napisem: „Ja ich nie wybierałam!”.

Tłumaczyła **Bogumiła Suwara**

Oľga Gyárfášová – socjolożka, eseistka, publicystka, ekspertka do spraw opinii publicznej (zachowania wyborców, kultura polityczna, integracja europejska), bada problematykę równych szans w Słowacji, publikuje prace z zakresu kwestii równouprawnienia płci. Kieruje Instytutem Badania Opinii Publicznej (<http://www.ivo.sk/169/sk/pracovnici/olga-gyarfasova>). W 2006 roku została laureatką słowackiego konkursu Kobieta Roku (w kategorii Media i Komunikacja). Blisko współpracuje z Zorą Bútorovą.